



To opowieść o potrzebie istnienia drugiego człowieka i o tym, że spotkany na ulicy nieznajomy może pomóc, ale i zabić. Książka należy do literatury drogi, w której dojrzewanie to zyskiwanie świadomości, że życie pisze czasem zaskakujące scenariusze.

Histmag.org

*Kiedy los na bezludną ziemię cię rzuci,
spotkasz przyjaciela, nie będziesz się smucić,
nie wszystko złoto, co się błyska.
Stracisz, ale zyskasz.*

To przepowiednia, którą ze szklanego słoja wyciągnął dla Julka Pan Turlutu, małpka starego kataryniarza, ulubienica wszystkich dzieciaków.

Czy spełni się w pierwszych dniach wojny, gdy Julek samotnie wyruszy do Warszawy, aby odnaleźć rodziców? Na swej drodze napotka enigmatycznego Achillesa i Smutnego Klauna, który wybiera się do Indii, aby poślubić prawdziwą księżniczkę. Ale czy można zaufać dorosłym?

Droga do domu będzie dłuższa, niż się Julkowi wydawało.

Katarzyna Ryrych

Z wykształcenia anglistka, z zamiłowania: malarka i pisarka, autorka licznych książek dla dorosłych, młodzieży i drobiazgu, jak pieśzcotliwie mówi o dzieciach. Czterokrotna laureatka Konkursu Literackiego im. Astrid Lindgren, w którego ostatniej, V edycji zdobyła także Grand Prix. Jej książki otrzymały m.in.: Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego, Książkę Roku Polskiej Sekcji IBBY, zostały wpisane na Listę Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej oraz międzynarodową listę IBBY Outstanding Books for Young People with Disabilities.

Minąłem rodzinę dorodnych prawdziwków – kiedy indziej zebrałbym je i wrócił do domu jak grzybowy król.

Czas nagle podzielił się na dwie części – ten beztroski, sprzed strasznej nocy, i ten, który trwał teraz.

„Historią nazywamy to, co było” – powiedział kiedyś nasz nauczyciel.

Zatem było nas dwóch – Julek, który jeszcze do niedawna biegał w indiańskim pióropuszu, i samotny chłopak z małpką na ramieniu.

Który z nas był prawdziwy?

Przecież nie stałem się w ciągu jednej nocy inny. Nadal byłem sobą. Miałem te same włosy, te same stopy w tych samych porządnych, sznurowanych butach.

Las rzednął. Krzaki i zarośla ustępowały miejsca paprociom, a na samym skraju lasu było fioletowo od kwitnących wrzosów. Za pasem fioletu rozpościerała się ogromna łąka.

Wcale nie zdziwiłem się, kiedy spostrzegłem pasącego się na niej wielbłąda. Na jego widok Pan Turlutu zaczął klaskać w ręce, ale wielbłąd był bez reszty pochłonięty jedzeniem.

Łąkę od drogi oddzielał niewielki zagajnik i poprzez szum wiatru dobiegły do mnie głosy ludzi. Nigdy wcześniej nie byłem tak szczęśliwy.

Ludzie. To oznaczało, że ktoś objaśni mi, jak iść w stronę Warszawy. Ale kiedy wyszedłem na drogę, zobaczyłem coś, co zmroziło mi krew w żyłach.

Drogą płynęła ludzka rzeka.

To było najwłaściwsze określenie. Szli starzy i młodzi, kobiety, mężczyźni i dzieci. W pochodzie dostrzegłem również krowy i kozy, pomiędzy nimi torowały sobie drogę wozy i wszystko zmierzało w jednym kierunku. Pochód zamykały ujadające psy.

Stałem na poboczu i nikt nie zwracał na mnie uwagi.

– Proszę pani! – zawołałem w kierunku przechodzącej obok mnie kobiety.

Niosła w ręce tekturową walizkę i patrzyła gdzieś przed siebie. Nie wiem, czemu przypomniałem sobie panią Medium.

– Proszę pana – zaczęliśmy idącego za nią mężczyznę.

Ten odwrócił się w moją stronę i przystanął.

– Cyrk odjechał – powiedział. – Chodź z nami.

Uświadomiłem sobie, że kubrak z dzwoneczkami i siedząca na moim ramieniu małpka sprawiły, iż wziął mnie za kogoś z trupy.

– Którędy do Warszawy? – zapytałem.

Mężczyzna spojrział na mnie i potrząsnął głową.

– Tam już nic nie ma, chłopcze – powiedział. – Nie ma po co wracać.

I poszedł dalej.

Stałem i patrzyłem na ludzi. Tam już nic nie ma – powtórzyłem w myśli. Nie, niemożliwe. Tam musiała być nasza kamienica i moi rodzice.

– Proszę pani – chwyciłem spódnicę jakiejś starszej kobiety.

– Niech mi pani powie, gdzie jestem!

– W piekle – odparła.

Pochód zdawał się nie mieć końca. Nadal stałem w miejscu, nie wiedząc, co robić. Pan Turlutu podskakiwał na moim ramieniu, wydając głośne piski. Ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Nawet dzieci. Trzymały się kurczowo swoich rodziców, starając się nie puścić ręki, spódnicy, nogawki spodni, aby nie zgubić się w tłumie.

Dokąd oni wszyscy idą? – pomyślałem.

Samolot przeleciał dokładnie nad nami, tak nisko, że dostrzegłem na jego skrzydłach czerwono-białe szachownice.

Ale zobaczyłem je tylko ja, inni zaś rzucili się do panicznej ucieczki. Rozbiegali się we wszystkie strony, jedni na łąkę, inni w stronę lasu. Stałem potrącany, popychany, a Pan Turlutu, wczepiwszy się w moje włosy, krzyczał z przerażenia.

Lotnik zatoczył dwa kręgi i oddalił się. Kiedy był już niewielką kropką, na tle bezchmurnego nieba pojawiły się trzy kolejne. Srebrne, połyskujące w słońcu przypominały drapieżne ptaki, zniżały lot, żeby ponownie wzbić się w górę – zupełnie jakby poszukiwały ofiary.

Pierwsza seria wzbila na drodze kurz. Krztusząc się i dusząc od pyłu, wskoczyłem do rowu. Przygniotłem sobą małpkę i znieruchomiałem. Nieznany mi dotąd wewnętrzny głos podpowiadał, aby ukryć się, stać się niewidzialnym, zniknąć. Samoloty przeleciały nad pustą drogą i jak na komendę skręciły nad łąkę.

Zatkałem uszy, aby nie słyszeć krzyku. Żywiłem tylko dziwną, absurdalną nadzieję, że wielbłądowi, który jeszcze niedawno cieszył się swobodą, udało się uciec.

W ustach miałem smak kurzu, drobiny piasku chrzęściły mi w zębach. Powoli uniosłem głowę. Warkot silników zamieniał się w ciche brzęczenie.

Tymczasem z łąki dobiegało wycie potępieńców. O ile przed chwilą nie wierzyłem, że znajduję się w piekle, o tyle teraz nie

pragnąłem niczego więcej, jak wydostać się z niego. Nie widzieć, nie słyszeć. Nie czuć zapachu ziemi.

Tobolki leżące na drodze przypominały kretowiska. Porzucone płaszcze wyglądały jak ciała bez głów.

Jak to się stało, że strzelec nie zwrócił na mnie uwagi? Kolorowy kaftan z pewnością rzucał się w oczy. Byłem o krok od wniosku, że to ja ściągnąłem niebezpieczeństwo. Nie, to było po prostu głupie. Tak pomyślałem, bo nie znałem jeszcze wszystkich słów opisujących świat. Ten, w którym się znalazłem.

Jeżeli uciekają – rozważałem – uciekają skądś. Z miejsca, w którym nie chcą już być, podobnie jak ja uciekłem od wujostwa. Więc powinienem iść w przeciwnym niż oni kierunku.

Zrzuciłem kubrak i wepchnąłem go do plecaka. Zabierał miejsce, ale nie umiałem go ot tak po prostu porzucić. W przedziwny sposób stał się dla mnie dowodem na to, że ten inny świat, który w jednej chwili stał się przeszłością, jednak istniał.

Bo jeśli ktoś powiedziałby, że to wszystko nieprawda, że nigdy nie było ani Aronka, ani kupy słonia, ani pióropusza płonącego na ognisku, ani cyrku – wtedy pokażę mu kubrak i zapytam tak, jak zwykł pytać Marcin:

– A niby co to jest, frajerze? Kikaj, bo takiego mantelka żaden karuzo dzisiaj nie ma.

Był to jeszcze jeden język obcy, którego się uczyłem. Na ulicy. I jakoś tak się dziwnie składało, że słówka same wchodziły mi do głowy. To wcale nie było łatwe, bo język był niby nasz, a inny. Ale tak jak ojciec nalegał, żebym się uczył niemieckiego i angielskiego, tak o ten nasz, a nie nasz, miałby pretensje...

Powietrze pachniało kurzem i dymem, zupełnie jakby ktoś palił ognisko. A to palił się dom, co zobaczyłem, gdy wyszed-

łem zza zakrętu. Po drodze biegały jak oszalałe kury i gęsi, a w powietrzu unosiły się czarne strzępy.

To było straszne. Dom zawsze był dla mnie miejscem, gdzie nie mogło się przydarzyć nic złego. Pomyślałem nagle o naszym domu i o tym, że nie chciałbym, żeby się spalił. Przecież spłonęłoby wszystko. Książki ojca, sukienki matki, zdjęcia, pamiętinki, moje zabawki, którymi co prawda już się nie bawiłem, ale nadal były moje... I nic by nam nie zostało.

I stałbym się taki sam jak Aronek, tylko kto by się mną opiekował? I czy znalazłby się ktoś, kto zająłby się moimi rodzicami?

Ale to jeszcze nie był czas, aby płakać z bezsilności. Głowę miałem zaprzątniętą czymś innym niż uzalanie się nad sobą. Jeżeli Odyseusz dotarł do swojego domu – dlaczego nie miało by się to udać i mnie?

Gdybym tylko wiedział, ile potrzebuję czasu. I czy idę we właściwym kierunku.

Kiedy wszedłem do pierwszego domu, jaki stał nienaruszony, zdziwiłem się, bo drzwi nie były zamknięte, gospodarze zostawili je uchylone, a na piecu, który jeszcze zachował ciepło, stał garnek z kaszą.

Dopiero wtedy poczułem, że jestem głodny. Nie znalazłszy łyżki, jadłem rękami wprost z garnka, a Pan Turlutu także wysuwał swoje małe, pomarszczone jak u starego człowieka dłonie.

Ile mógł mieć lat? Przyglądałem się, jak wpycha do ust garść za garścią. Z pewnością cztery, bowiem tak daleko sięgała moja pamięć. Pierwsza wizyta w cyrku – wtedy zobaczyłem go po

raz pierwszy i przestraszyłem się, myśląc, że to jakiś dziwny człowieczek.

Ojciec wytłumaczył mi, że to małpka, ale długo bałem się, aby nie porwał mnie katarzyniarz.

– Zobacz – uspokoiła mnie babcia – jaki jesteś duży. Nie zmieściłbyś się na katarynce.

Katarzynka. Nagle pożałowałem, że nie wziąłem jej ze sobą. Aby to zrobić, musiałbym zejść oczywiście na dno leja, gdzie stałbym się łatwym łupem dla Cezara lub pantery – gdyby tylko przyszło im do głowy na mnie zapolować. Musiałbym także przejść obok przysypanego ziemią ciała katarzyniarza i sam już nie wiedziałem, co było gorsze.

Pierwszy raz zobaczyłem nieżywego człowieka... no, właściwie nie całego, tylko rękę – ale może właśnie to było straszne?

Rozejrzałem się dokoła. Jeżeli zamknę drzwi, będę miał gdzie bezpiecznie spędzić noc. Samotność była dokuczliwa – ale bezpieczna. Wiedziałem już, że największe niebezpieczeństwo czai się tam, gdzie jest najwięcej ludzi. Można było ich z łatwością wypatrzeć i... zabić. Przestraszyłem się tego słowa, ale prędzej czy później musiało dotrzeć do mojej świadomości.

Zabić. Bo co innego stało się z ludźmi, którzy podjęli próbę ucieczki?

Siedząc na prostym drewnianym krześle, nagle zacząłem się zastanawiać, dlaczego ludzie robią takie rzeczy.

Wojna, w której brał udział Odyseusz, miała jeszcze jakiś sens. Tak pomyślałem w pierwszej chwili, ale szybko zmieniłem zdanie. Żadna wojna, w żadnym miejscu i z żadnego powodu nie ma sensu.

Ta myśl wydała mi się tak ważna, że postanowiłem ją sobie zapisać. Wyjąłem z plecaka notes i ołówek, ale moje litery były koślawe i brzydkie. Wyrwałem stronę, zmiąłem ją i rzuciłem na podłogę.

Pan Turlutu dopadł jej jednym susem i radośnie ćwierkając, podał mi do ręki. Dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy wyciągał losy ze szklanego słoja.

Przygryzając koniuszek języka, starannie i powoli, litera za literą zapisałem to, co przed chwilą przyszło mi do głowy. Przypomniałem sobie, że ojciec także zapisywał różne rzeczy.

Być może kiedyś będzie ze mnie dumny.

Notes był bardzo gruby i było w nim dużo kartek. Wyrwałem jeszcze jedną i podarłem ją na kilka niewielkich kawałków.

Twój ojciec będzie dumny z Ciebie – napisałem na jednym z nich.

Odnajdziesz drogę do domu – zapisałem na drugim.

A potem posypało się jak lawina:

Nie ma dla Ciebie rzeczy niemożliwych.

Przeżyjesz.

Jesteś silny i odważny.

Zwinałem kartki, tak jak kataryniarz zwijał przepowiednie, i wrzuciłem je do czapki.

– Trututu, Pan Turlutu! – zawołałem. – Panowie, kobiety, rzucajcie monety, kto bogaty i życzliwy, ten dostanie los szczęśliwy...

Pan Turlutu momentalnie chwycił jeden papierek i podał mi go, śmiesznie marszcząc czoło.

Odnajdziesz drogę do domu – przeczytałem, i chociaż to ja byłem autorem przepowiedni i wiedziałem, że wśród nich nie ma

żadnej złej – poczułem się tak, jakby nagle u ramion wyrosły mi skrzydła.

Stos zwiniętych papierków zaczął piętrzyć się w czapce. Zapisywałem na nich wszystko, czego mógłbym oczekiwać od szczęśliwego losu, i na koniec postanowiłem, że każdy nowy dzień będę zaczynał od losowania przepowiedni.

Nie ruszałem się z kuchni. To byłoby nie w porządku chodzić tak po cudzym domu, nawet gdyby jego właściciel miał nie wrócić. Miałem tu wszystko, czego było mi trzeba. Resztkę wody w czajniku, jeszcze lekko ciepłą, trochę kaszy na dnie garnka, kraciastą wełnianą chustę, której ktoś zapomniał, opuszczając w pośpiechu dom, a której w razie chłodnej nocy mogłem użyć jako okrycia.

Bo zdecydowałem, że zostanę w tym domu na noc. Niestety nie było nigdzie bańki z naftą, więc stojąca na kredensie lampa była bezużyteczna. Co prawda nie wiedziałem, czy poradziłbym sobie z jej zapaleniem, choć wiele razy patrzyłem, jak ciotka zapala podobną lampę na stole w ogrodzie, ale nigdy nie powierzała tego żadnemu z nas, dzieci.

Być może umiałbym odtworzyć to, co robiła. Gdybym miał naftę. Zmrok zapadał szybko. Wspiąłem się na ławę i zamknąłem lufcik, aby nic – co prawda nie miałem pojęcia, co mogłoby to być – nie dostało się do środka, i zacząłem przygotowywać się do snu. Ława była szeroka, ale twarda i mało wygodna, więc przełamałem opory i wszedłem do sąsiadującego z kuchnią pokoju.

Z ogromnego łóżka wzięłem niewielką poduszkę i pikowaną kołdrę. Kiedy wracałem do kuchni, spostrzegłem stojącą na

stole świecę. W moim plecaku miałem dwa pudełka zapalek, bo tylko tyle udało mi się znaleźć w kuchni ciotki, jako że chowała wszystkie przed plemieniem Apaczów. Jednak w ostatniej chwili przyszło mi do głowy, że zapalając światło, zdradzę swoją obecność w domu.

Ludzie pojawili się o wschodzie słońca. Jeszcze zanim otworzyłem oczy, usłyszałem szuranie butów za drzwiami, stukanie – a potem ktoś poruszył klamką.

Usiadłem na ławie. Klamka poruszyła się po raz drugi. A potem zapadła cisza.

Jeżeli wracają gospodarze... – pomyślałem i nie skończyłem, bo drzwi kopnięte ciężkim butem otworzyły się.

Mężczyzna wszedł do kuchni tak szybko, że nie zdążyłem wyskoczyć przez okno. Rozejrzał się dokoła, a kiedy mnie zauważył, na jego twarzy pojawił się dziwny grymas. Nawet jeśli przypominać miał uśmiech, nie był to uśmiech dobry.

– Tato! – zawołałem w stronę zamkniętych drzwi od pokoju.
– Tato, bo...

Mężczyzna odwrócił się na pięcie i wybiegł. Mój żołądek podjechał do gardła. Klęcząc na ławie, z wymiotowałem przez otwarte okno.

Z trudem opanowałem drzenie kolan. O wiele bardziej bezpieczny byłem w cyrkowym wozie, z Cezarem pilnującym resztek swojego posiłku. Tam groziło mi zwierzę. Tu – co odkryłem ku swemu przerażeniu – człowiek.

Dlaczego wszedł do cudzego domu i uciekł, kiedy wpadłem na pomysł, aby zawołać kogoś, kogo nie było?